

# DŁUGI MARS



TERRY PRATCHETT  
STEPHEN BAXTER  
DŁUGI MARS

Przełożył  
Piotr W. Cholewa

*Prószyński i S-ka*

Tytuł oryginału  
THE LONG MARS

Copyright © Terry and Lyn Pratchett and Stephen Baxter 2014  
First published by Transworld Publishers, a division  
of The Random House Group Limited  
All rights reserved

Projekt okładki  
Piotr Cieśliński/Dark Crayon

Zdjęcia na okładce  
© The Image Bank/Getty Images/Flash Press Media,  
Brand X Pictures/ Getty Images/Flash Press Media

Ilustracja na stronie 6  
© Rich Shailer

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Rudzka

Redakcja  
Agnieszka Roslan

Korekta  
Grażyna Nawrocka

Łamanie  
Jacek Kucharski

ISBN 978-83-7961-xxx-9

Warszawa 2015

Wydawca  
 Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
ABEDIK S.A.  
61-311 Poznań, ul. Ługańska 1

*Lyn i Rhiannie, jak zawsze*

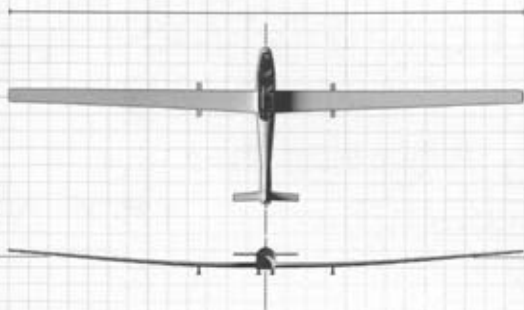
T.P.

*Sandrze*

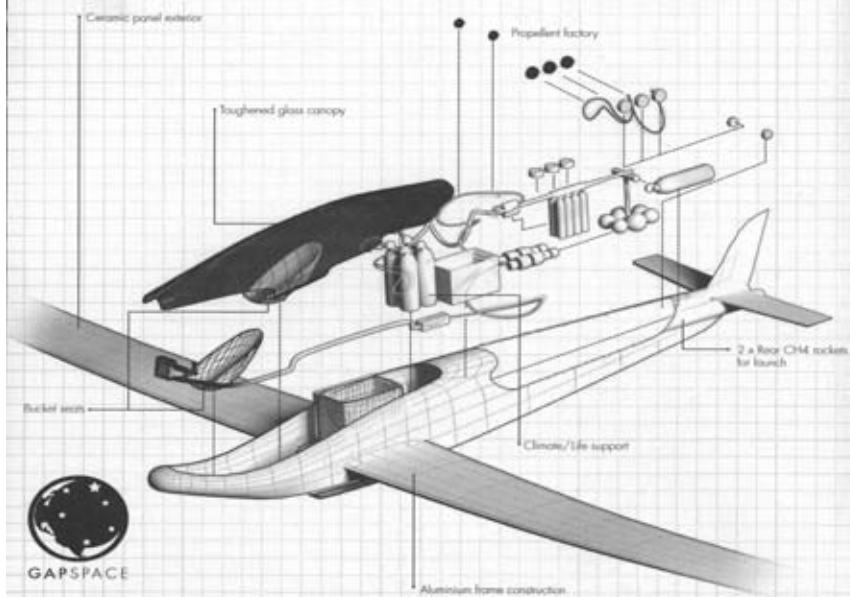
S.B.



MARS GLIDER  
Design © GapSpace Inc



400:1



GAPSPACE

# ROZDZIAŁ I

Wysokie Meggery.

W Dalekie światy, w większości wciąż niezamieszkane – nawet w roku 2045, trzydzieści lat po Dniu Przekroczenia. Tak daleko człowiek wciąż mógł być całkiem samotny; być jedyną żywą duszą na całej planecie.

Taki stan dziwnie wpływa na umysł, myślał Joshua Valienté. Po kilku miesiącach samotności człowiek staje się tak wyczulony, że wyczuwa, kiedy w jego świecie pojawia się ktoś inny, choćby jedna osoba – tylko jedna ludzka istota, może po przeciwnej stronie planety. Książniczka na ziarnku grochu nie mogłaby się z tym równać. Noce były zimne i ogromne, a światło gwiazd wymierzone prosto w niego...

A jednak, myślał Joshua, nawet w pustym świecie i pod pustym niebem zawsze wciskali się do głowy inni ludzie. Tacy ludzie jak jego opuszczona żona i syn, jego niekiedy towarzyszka podróży Sally Linsay i wszyscy ludzie z Ziemi Podstawowej, cierpiącej wskutek erupcji Yellowstone sprzed pięciu lat.

I Lobsang. Zawsze Lobsang...

\* \* \*

Wobec swego niezwyklego pochodzenia Lobsang z konieczności stał się dla reszty ludzkości swego rodzaju autorytetem w kwestii dzieła znanego Zachodowi jako Tybetańska Księga Umarłych.

Dla Tybetańczyków jej chyba najbardziej znanym tytułem był Bardo Thodol, luźno tłumaczony na Wyzwolenie poprzez Słuchanie. Ten pogrzebowy tekst, mający za zadanie prowadzić świadomość poprzez interwał pomiędzy śmiercią a odrodzeniem, nie miał jednego ogólnie akceptowanego wydania. Jego początki sięgały ósmego wieku i w tym czasie przeszedł przez wiele rąk – proces ten pozostawił współczesności wiele różnych wersji i interpretacji. Czasami, kiedy Lobsang analizował stan Ziemi Podstawowej, pierwszego domu ludzkości, w dniach, miesiącach i latach po supererupcji Yellowstone w 2040, znajdował pocieszenie w uroczystym języku dawnej księgi.

Pocieszenie szczególnie ważne wobec wieści, jakie dochodziły z Bozeman w Montanie, Ziemia Zachodnia 1, ledwie kilka dni po wybuchu. Wieści, na które jego przyjaciele zareagowali.

Każdego zwykłego dnia społeczność zasiedlająca cień Bozeman, o krok na zachód oddalony od Bozeman Podstawowego, tworzyła pewnie typową wykroczną kolonię, myślał Joshua, po raz kolejny wciągając ochronny kombinezon. Gromadka chat w stylu Abe Lincoln na polance w lesie, konsekwentnie wycinanym, by eksportować drewno na Podstawową. Zagroda dla koni, nieduża kaplica. Jeśli tej kopii Bozeman czegoś brakowało, to pewnych elementów zwykle spotykanych dalej w głębi Długiej Ziemi: hotelu, barów, szkoły, ratusza i szpitala. Tak blisko Podstawowej łatwo było w razie potrzeby przekroczyć i wrócić do domu.

Ale ten dzień, piętnasty września 2040 roku nie był zwyczajny w żadnej z wykrocznych Ameryk. Ponieważ – siedem dni od chwili, gdy na Ziemi Podstawowej wielka kaldera eksplodowała po raz pierwszy – erupcja Yellowstone wciąż trwała. Bozeman w Montanie leżało zaledwie siedemdziesiąt kilometrów od nieustającego wybuchu.

A tutaj, o krok od katastrofy, Bozeman Zachodnie 1 uległo przemianie. Wprawdzie dzień był słoneczny, niebo błękitne, a trawa jaskrawozielona, bez śladu wulkanicznych popiołów, ale w miasteczku były tłumy. Ludzie cisnęli się w chatach albo w naprędce



wystawionych namiotach, a niektórzy zwyczajnie siedzieli na brezentowych płachtach na ziemi. Byli tak obsypani popiołem, że mieli jednolicie szary kolor – skóra, włosy, ubranie, jak postacie ze starego programu telewizyjnego *I Love Lucy*, cyfrowo wycięte i wklejone w tę rozslonecznioną zieleń pięknego jesiennego dnia. Mężczyźni, kobiety i dzieci zanosili się kaszlem, jakby oprócz kolorystyki mieli też tytoniowe nałogi z lat pięćdziesiątych.

Okolice wokół miasteczka została przejęta przez groźnie wyglądających osobników z FEMA, Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego, i z Gwardii Narodowej, którzy poznaczyli teren promieniami laserów, taśmą policyjną lub zwykłą kredą, by odtworzyć położenie ulic i budynków Bozeman Podstawowego. Niektóre linie ciągnęły się w głąb lasu i w zarośla, tutaj jeszcze niewykarczowane. Prostokąty zostały ponumerowane i opisane, a funkcjonariusze systematycznie wysyłali na Podstawową przekraczających ochotników, zaznaczając wszystko na cyfrowych mapach na swoich tabletach, by mieć pewność, że w dotkniętej klęską okolicy nie zostali żadni ludzie.

W pewnym sensie cała ta akcja była demonstracją podstawowej tajemnicy Długiej Ziemi, myślał Joshua. Minęło już ćwierć wieku od Dnia Przekroczenia, kiedy on i inne dzieciaki na całym świecie ściągnęły z sieci specyfikację prostego elektronicznego aparatu zwanego krokerem, po czym zgodnie z instrukcją przesunęły przełącznik... i przekroczyły – nie w prawo ani w lewo, nie do przodu ani do tyłu, ale w całkiem innym kierunku. Przekroczyły do świata lasów i mokradeł, przynajmniej te, które ruszały z Madison w Wisconsin, tak jak Joshua. Przeszły w świat całkiem podobny do Ziemi – dawnej Ziemi, Ziemi Podstawowej – tyle że nie było w nim ludzi, dopóki nie pojawiły się takie dzieciaki jak Joshua, materializujące się w powietrzu. A Joshua odkrył szybko, że potem można zrobić kolejny krok, i następny, wzdłuż całego łańcucha równoległych światów, coraz bardziej się różniących od Podstawowego – ale nadal bez żadnych ludzi. To były światy Długiej Ziemi.

Tak więc wyglądała twarda, rzeczywista sytuacja. Amerykę Podstawową pokrywał obecnie gorący dywan pyłów i popiołów

wulkanicznych – ale tutaj, o krok zaledwie, świat sprawiał wrażenie, jakby Yellowstone w ogóle tu nie istniało.

Pojawiła się Sally Linsay; dopijała kawę z polistyrenowego kubka, który starannie odłożyła do pojemnika, by umyć i użyć ponownie – dobre pionierskie przyzwyczajenie, pomyślał z roztargnieniem Joshua. Sally miała na sobie czysty jednoczęściowy kombinezon, ale popiół dostał się do jej włosów, skóry twarzy i szyi, nawet do uszu – we wszystkie miejsca, których nie zakryła maska i paski mocowań.

Towarzyszył jej ktoś z Gwardii Narodowej – dzieciak jeszcze, z tabletem w ręku. Sprawdził ich tożsamość, numery na piersiach kombinezonów, kwadrat terenu, do którego mieli trafić.

– Znów jesteście gotowi?

Sally zaczęła mocować na twarzy maskę, filtr oddechowy i steam-punkowe gogle.

– To już siódmy dzień.

Joshua sięgnął po własną maskę.

– Ale myślę, że szybko się to nie skończy.

– Gdzie jest teraz Helen?

– Wróciła do Diabli Wiedzą Gdzie.

Chłopak z gwardii uniósł brwi, ale Joshua mówił o swoim domu w Wysokich Meggerach, kolonii oddalonej o ponad milion kroków od Podstawowej. Tam mieszkał razem z żoną Helen i synem Danem.

– Albo jest w drodze. Powiedziała, że tak będzie bezpieczniej dla Dana.

– To prawda. Podstawowa i Niskie Ziemie jeszcze przez lata będą w chaosie.

Wiedział, że Sally ma rację. Na Niskich Ziemiach nastąpiły wstrząsy geologiczne, będące odbiciem wielkiej erupcji z Podstawowej, ale głównym powodem chaosu była ogromna fala uchodźców.

Sally przyjrzała się Joshui.

– Założę się, że Helen nie była zachwycona, kiedy nie chciałeś z nią wrócić.

– Wiesz, to było trudne dla nas obojga. Ale wychowywałem się w Ameryce Podstawowej. Nie mogłem jej porzucić.

– Dlatego postanowiłeś trzymać się blisko i używać krokowych supermocy, by pomagać poszkodowanym?

– Odpuść, Sally, co? Ty też jesteś tutaj. Zresztą dorastałaś w samym Wyoming...

Uśmiechnęła się.

– Ale ja nie mam żonusi, która próbuje mnie odciągnąć. Zrobiła ci awanturę? Czy tylko się dąsała, ale długo?

Odwrócił się i gniewnie zaciągnął z tyłu głowy paski mocujące maskę. Śmiała się z niego głosem stłumionym przez własną maskę. Naciągnął kaptur. Znał Sally od dziesięciu lat, od pierwszej badawczej wyprawy w głąb Długiej Ziemi, kiedy odkrył, że ona już tam była. Przez te lata niewiele się zmieniła.

Chłopak z gwardii ustawił ich przed linią taśmy policyjnej.

– Dom, który macie sprawdzić, jest wprost przed wami. Dwa dzieciaki stamtąd wyszły, ale brakuje nam jeszcze trojga dorosłych. Mamy w rejestrze jednego fobika. Nazywają się Brewer.

– Jasne – rzucił Joshua.

– Rząd Stanów Zjednoczonych jest wdzięczny za to, co robicie.

Joshua spojrział w ukryte pod maską oczy Sally. Chłopak miał nie więcej niż dziewiętnaście lat; Joshua miał trzydzieści osiem, Sally czterdzieści trzy. Z trudem powstrzymał chęć, by rozwichrzyć mu jasną czuprynę.

– Jasne, synu. – Włączył latarkę czołową i chwycił Sally za rękę. – Gotowa?

– Zawsze. – Spojrzała na jego dłoń. – Jesteś pewien, że to twoje sztuczne łapsko wytrzyma?

Proteza lewej ręki była pozostałością po ich ostatniej wspólnej wyprawie.

– Pewnie lepiej niż cała reszta. – Przygarbili się, wiedząc, co ich czeka. – Trzy, dwa, jeden...

Przekroczyli w piekło.

Popiół i pumeks spadały im na głowy, na ramiona – popiół niczym diabelski śnieg, szary, ciężki i gorący, pumeks w lekkich kawałkach wielkości kamyczków. Lecące kamienie dudniły o samochód

przed nimi, tak przysypany popiołem, że wyglądał jak szary kopiec. W tle ciągle słyszeli bezustanny ryk zagłuszający próby rozmowy.

Niebo za popiołem, gazami i dymem, które dotarły już na wysokość trzydziestu kilometrów, wydawało się praktycznie czarne.

I było gorąco, gorąco jak w kuźni w pionierskim miasteczku. Trudno uwierzyć, że kaldera leżała o siedemdziesiąt kilometrów stąd. Jednak nawet tutaj, jak twierdzili niektórzy, opadający popiół mógł stopić się ponownie i popłynąć jako lava.

Dom, który mieli sprawdzić, rzeczywiście stał wprost przed nimi, jak na planie tego młodego gwardzisty: niewielki piętrowy domek z werandą, która załamała się pod ciężarem popiołu.

Sally prowadziła, wymijając zasypany samochód. Miejskami brnęli przez półmetrową warstwę popiołu, jakby przez ciężki, gorący i zbity śnieg. Sam jego ciężar był tylko początkiem problemów. Drobiniki, gdy tylko miały szansę, ocierały skórę, oczy zmieniały w swędzące ośrodki bólu i rozdrapywały płuca. Po paru miesiącach popiół mógł człowieka zabić, nawet jeśli wcześniej go nie zmiażdżył.

Frontowe drzwi były chyba zamknięte, więc Sally nie marnowała czasu. Uniosła ciężko obutą nogę i kopnęła mocno.

Pokój wewnątrz był pełen gruzu. W świetle lampy czołowej Joshua odkrył, że ciężar pumeksu i popiołu już dawno pokonał tę drewnianą konstrukcję; dach i cały strych zapadły się i runęły przez sufit. Salonik zasłany był gruzem i szarymi zaspami popiołu. Na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek tu przetrwał. Jednak Sally, zawsze szybko analizująca nowe i trudne sytuacje, wskazała róg pokoju, gdzie stał stół jadalny – kwadratowy, solidny i wytrzymały, z grubą warstwą popiołu na blacie.

Przecisnęli się w tamtą stronę. Tam, gdzie ich podeszwy roztrąciły gruz, prześwitywał w popiele ciemnoczerwony dywan. Stół obwieszony był kotarami. Odchylili je i zobaczyli pod nim troje ludzi. Wydawali się kłębkami szarych ubrań, głowy i twarze mieli owinięte ręcznikami. Joshua szybko zidentyfikował mężczyznę i kobietę w średnim wieku, może po pięćdziesiątce, i jeszcze jedną kobietę, która wyglądała na o wiele starszą, może osiemdziesięcioletnią;

skulona w kącie, zdawała się spać. Po ubikacyjnym smrodzie, jaki dochodził z tego schronu, Joshua wywnioskował, że przebywają tu już od dłuższego czasu, może kilku dni.

Zaskoczeni widokiem Joshuy i Sally w kombinezonach i maskach, mężczyzna i kobieta cofnęli się niepewnie. Ale zaraz potem mężczyzna odwinął ręcznik, ukazując szare od popiołu usta i czerwone oczy.

– Dzięki Bogu – powiedział.

– Pan Brewer? Mam na imię Joshua. To jest Sally. Przyszliśmy państwa stąd zabrać.

– Nikogo nie zostawiamy? – Brewer się uśmiechnął. – Tak jak obiecywał prezydent Cowley.

Joshua rozejrzał się z podziwem.

– Wygląda na to, że całkiem nieźle sobie państwo radzili. Zapasy, osłony na usta i oczy...

Brewer uśmiechnął się blade.

– Postąpiliśmy tak, jak mówiła ta rozsądna panienska.

– Jaka rozsądna panienska?

– Zjawiła się, zanim naprawdę zaczął spadać popiół. Ubrana była po pioniersku. Nie przedstawiła się, ale uznaliśmy, że musi być z jakiejś agencji rządowej. Udzieliła nam kilku mądrych rad na temat przetrwania, bardzo konkretnych. – Obejrzał się na starszą kobietę. – Zapewniła nas także bardzo stanowczo, że układ planet nie ma nic wspólnego z tą katastrofą i że nie jest to kara boska. Moją teściową bardzo to pocieszyło. Wtedy niespecjalnie zwracaliśmy uwagę na jej rady, dopóki nie nadszedł czas... Tak, nieźle sobie poradziłyśmy. Ale zapasy zaczynają się wyczerpywać.

Kobieta w średnim wieku pokręciła głową.

– Nie możemy odejść.

– Nie możecie zostać – oświadczyła surowo Sally. – Nie macie już żywności ani wody, zgadza się? Jeśli nawet popiół was nie zabije, umrzecie z głodu. Nie macie krokerów? Możemy was przenieść...

– Nie rozumiecie – odparł Brewer. – Wysłaliśmy dzieci, psa... Ale Meryl, moja teściowa...

– Bardzo ostry fobik – wyjaśniła kobieta krótko.

To znaczyło, że przekroczenie do innego świata wywoła reakcję, która może staruszkę zabić, chyba że szybko podadzą odpowiedni zestaw leków.

– Mogę się założyć – dodał Brewer – że po drugiej stronie skończyły się im leki dla fobików.

– A nawet jeśli nie – stwierdziła jego żona – priorytet mają młodzi i zdrowi. Nie zostawię tutaj własnej matki. – Spojrzała na Sally. – Ty byś zostawiła?

– Ojca, może... – Sally zaczęła się wycofywać z ciasnej przestrzeni. – Chodź, Joshuo, marnujemy tu czas.

– Nie, zaczekaj. – Joshua dotknął ramienia staruszki. Oddychała chrapliwie. – Musimy tylko zabrać ją w miejsce, gdzie wciąż mają leki. Gdzieś daleko, poza zasięg chmury popiołów.

– A jak to zrobimy, do diabła?

– Przez czułe punkty. Pomyśl, Sally, jeśli w ogóle kiedyś zdarzył się właściwy moment, żeby użyć twojej supermocy, to właśnie teraz. Możesz to zrobić?

Sally wyraziła irytację gniewnym spojrzeniem przez maskę, ale Joshua się nie przestraszył.

Zamknęła oczy, jakby próbowała coś wyczuć, jakby słuchała... Szukała czułych punktów, skrótów przez Długą Ziemię, dostępnych tylko dla niej i kilkorga innych adeptów... Joshua uważał, że Meryl można przenieść przez czułe punkty do jakiegoś miejsca innego niż wykroczone Bozeman, gdzie leki będą łatwiej dostępne.

– Tak, to możliwe. Jest przejście parę przecznic stąd. W dwóch krokach mogę ją zabrać do Nowego Jorku Zachodniego 3. Ale wiesz, czułe punkty to nie jest łatwy przeskok, nawet jeśli nie jesteś stary.

– Nie mamy wyboru. Idziemy.

Odwrócił się, by wytłumaczyć wszystko Brewerom. I wtedy cały dom podskoczył.

Przykucnięty pod stołem Joshua upadł na plecy. Słyszał, jak pęka i łamie się drewno, potem zasyczał popiół wsypujący się do wnętrza nowymi szczelinami.